

**CZYTASZ FRAGMENT TEKSTU KSIĄŻKI „SEKRET STAREGO
DĘBU” AUTORSTWA EMILII NOWAK.
KSIĄŻKA OBJĘTA JEST W CAŁOŚCI PRAWAMI AUTORSKIMI.
JAKIEKOLWIEK KOPIOWANIE, ROZPOWSZECHNIANIE,
SPRZEDAWANIE LUB INNE WYKORZYSTYWANIE BEZ ZGODY
AUTORKI JEST PRZESTĘPSTWEM I BĘDZIE POCIĄGNIĘTE DO
ODPOWIEDZIALNOŚCI KARNEJ I CYWILNEJ.**

1

Koszmarne światło przywitało grupę policjantów przybyłych na miejsce tragicznego zdarzenia. Był początek kwietnia, w ciągu dnia temperatura sięgała około piętnastu stopni powyżej zera, jednak o poranku powietrze było nadal przenikliwie zimne. Na dokładnie przystrzyżonej trawie szklily się krople rosy w promieniach wschodzącego słońca, niczym miliony rozsypanych diamentów. Sierżant Makowski przepytывał stajennego, który właśnie złożył na komisariacie doniesienie o makabrycznym znalezisku w sadzie.

Ciało pani Klary Duchownej znajdowało się w bardzo nietypowej, można rzec, upokarzającej pozycji, niegodnej nieżyjącej już staruszki. Dolna część tułowia, leżała na trawniku. Nogi denatki były lekko skrzyścone w bok. Natomiast górną część znajdowała się w większości w sadzawce. Prawa strona głowy zanurzona była w mętnej wodzie. Pływające tam ryby delikatnie ją obskubywały. Jednak to nie ryby doprowadziły do stanu, w którym ciężko było zidentyfikować denatkę. Prawdopodobnie szczur lub inne zwierzę drapieżne wyżarło kobiecie sporą część twarzy. Należało jak najszybciej zakończyć oględziny i pozwolić służbom zająć się

zwłokami w należyty sposób. Widok ten był jednocześnie komiczny i tragiczny.

Pani Duchowna spędziła życie na podróżach, ominęły ją różne klęski żywiołowe, trzęsienie ziemi we Włoszech, pożary w Hiszpanii, wybuch bomby w Anglii. Setki razy leciała samolotem, który mógł się teoretycznie rozbić, wypływała kajakiem na ogromne wody, nie umiejąc pływać, a ironia losu pokarała ją taką beznadziejną śmiercią. Zginęła tragicznie w swoim ogrodzie, topiąc się w sadzawce,, przewróciwszy się uprzednio o kamień. Tak w bardzo dużym skrócie przedstawiała to notatka policyjna.

– Proszę jeszcze raz przypomnieć, o której godzinie dokładnie znalazł pan zwłoki – stanowczym i poważnym tonem głosu powiedział sierżant do stajennego.

Zenon Głowacki pracował jako stajenny w posiadłości pani Duchownej od dziesięciu lat. Wysoki, lekko przygarbiony pięćdziesięciolatek o dość korpulentnej budowie ciała, sprawiał teraz wrażenie zagubionego i bardzo przejętego całym zdarzeniem. Drżał, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć po tym, co zobaczył o świcie, gdy przyszedł jak co dzień nakarmić konie i posprzątać w stajni.

– Panie władzo – zwrócił się do policjanta ze skrucą. – Nie noszę zegarka, ale zawsze z domu wychodzę o piątej rano, więc i tym razem nie mogło być później niż piąta trzydzieści. Ale panią Duchowną znalazłem dopiero po jakimś czasie.

– Ile czasu upłynęło? – dopytywał się sierżant bezdusznie.

– Chyba pół godziny zajęło mi karmienie koni – odparł

Głowacki. – I kiedy właśnie zamierzałem zacząć odrzucać gnój, przypomniałem sobie, że wczoraj zostawiłem widły i taczkę koło kompostownika w sadzie – kontynuował wyjaśnienia. – Więc poszedłem tam i właśnie wtedy na własne oczy zobaczyłem ciało kochanej pani Klary.

Zrobił małą przerwę, żeby złapać oddech. Ten moment wykorzystał sierżant aby zadać dodatkowe pytanie.

– Dlaczego nie próbował jej pan ratować?

– Ratować? Podszedłem bliżej i tylko dotknąłem nogi pani Klary. Była cała skostniała. Aż się złąkłem. To jasne, że od dawna nie żyła – tłumaczył.

– Czy widział pan w pobliżu kogokolwiek innego? Zauważył pan cokolwiek dziwnego?

– Nie widziałem nikogo, panie władzo. Na polach nie było żywej duszy, a cała wioska jeszcze spała. - Tylko... – zastanowił się przez chwilę, tak jakby próbując ocenić, czy to, co chce powiedzieć, może mieć jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy.

– Tylko co, panie Głowacki? – zainteresował się sierżant.

Po chwili wahania stajenny odparł:

– Tylko gdzieś daleko w lesie widziałem myśliwego albo może grzybiarzy.

Upłynęła chwila, zanim sierżant to skomentował, analizując nowe informacje.

– Skąd pan wie, że to grzybiarze albo myśliwy? Słyszał pan

strzały? Przecież mówił pan, że nikogo nie widział. To widział pan, czy nie? – lekko zdenerwowany, ale chyba także zmęczony tymi oględzinami sierżant, zwrócił się raz jeszcze do mężczyzny.

– Jezusie, ja już sam nie wiem! Zaraz... tak, tak, już sobie przypominam. Widziałem człowieka chodzącego po lesie. Ale był bardzo daleko, strzałów nie słyszałem. To mógł być myśliwy. Chociaż teraz przecież polować nie wolno. To pewnie grzybiarz jakiś. Tu ludzie często chodzą na grzyby, najczęściej bardzo wcześnie rano. Kochana pani Klara nigdy nie zabraniała spacerować po lesie. Sama grzybów nie zbierała, to innym pozwalała.

– Grzyby, powiada pan... A jakie to grzyby zbiera się w kwietniu?

– Pieczarki już są – odpowiedział, a policjant tylko na niego zerknął.

– Jak daleko znajdował się ten człowiek? Był pan w stanie rozpoznać czy to mężczyzna czy kobieta? – na zakończenie poprosił jeszcze o wyjaśnienie sierżant.

– Daleko. Tam za wodnicą, to jakiś kilometr dalej. Nie wiem, czy to kobieta. Raczej chłop, bo żadna pani o tej porze sama do lasu by na grzyby się nie wybrała – odparł z przekonaniem stajenny.

– Ostatnie pytanie do pana: czy właścicielka tej posiadłości miała jakiegoś wroga?

– Wroga? Broń Boże! Wszyscy kochali panią Klarę.

– A może kręcił się tu ktoś podejrzany ostatnio? Coś panu

przychodzi do głowy? Cokolwiek?

– Nie, nic takiego się nie działo.

– Dobrze, to by było na razie wszystko co do pana mam. Może pan iść do domu – skwitował policjant wpisując pod notatką jeszcze jakieś gryzmoły. – Jeżeli będziemy mieć więcej pytań, to dostanie pan wezwanie.

Było to oczywiste, ale w ustach sierżanta Makowskiego zabrzmiało tak złowieszczo, że pan Głowacki wyraźnie zmarmotniał na twarzy. Już miał zamiar odejść, ale zorientował się, że nie posprzątał w stajni. Dotarło również do niego, że przecież Klara Duchowna była jego pracodawczynią, a teraz nie żyje. Czy to oznaczało, że został bez pracy?

– Panie władzo, halo! – krzyknął. – Ale konie, gnój, przecież nie zostaną tak. Co ze stajnią? Co ja mam zrobić?

Sierżant również jakby doznał olśnienia:

– No tak, ma pan klucze do stajni. Czy posiada pan również klucze do innych budynków znajdujących się w posiadłości? – zagadnął podejrzliwie Głowackiego.

– Oczywiście, że tak. Mam jeszcze klucze do szopy z narzędziami, do kuźni i do piwnic domu.

Powiedział to, ale trochę pożałował tych słów, widząc minę policjanta.

– W takich okolicznościach, ponieważ nie jest pan członkiem rodziny, musi pan oddać policji wszystkie klucze. Proszę iść teraz dokończyć prace w stajni, tak żeby konie miały czysto i nie były

głodne. Ale decyzję o tym, czy dalej pan będzie zajmował się gospodarstwem, podejmie córka pani Duchownej. Policja już ją zawiadomiła, powinna zjawić się jutro. Do tego czasu nie może pan być w posiadaniu jakichkolwiek kluczy.

To mówiąc, zabrał ów pęk z rąk stajennego, pozwalając mu jedynie dokończyć konieczną pracę na dziś. Policjanci już wykonali niezbędne czynności, więc ekipa z zakładu pogrzebowego zaczęła zabierać zwłoki z sadzawki. Kiedy odwrócono ciało Klary Duchownej, oczom im ukazała się twarz, jakby rozpuszczona przez wodę, a do tego rozdrapana przez zwierzęta.

2

Nad głowami pasażerów zapaliła się lampka "zapiąć pasy", co było zapowiedzią rychłego lądowania. Z głośników dobiegł do uszu podróżujących głos personelu samolotu:

– Szanowni państwo, kapitan włączył sygnalizację "zapiąć pasy". Rozpoczynamy lądowanie na lotnisku w Pyrzowicach. Prosimy o zajęcie swoich miejsc, upewnienie się, że państwa bagaże znajdują się pod siedzeniem przed państwem oraz przypominamy, że używanie telefonów komórkowych oraz palenie tytoniu jest całkowicie zabronione na pokładzie samolotu. Na czas lądowania nie będzie możliwości skorzystania z toalet. Dziękujemy.

Wiktoria w milczeniu obserwowała, co działo się za oknem. Siedziała przy samym okienku w przedniej części samolotu, dzięki

czemu miała świetny widok na zewnątrz. Maszyna lekko kołysała się na boki, przez to co chwilę dziewczynę ścisnął żołądek.

– „Mama zawsze mówiła, że celebrowała moment startu i lądowania, bo sprawiało jej to przyjemność. Nie rozumiem, jak to w ogóle możliwe” – pomyślała i łza zakręciła się jej w oku. Zaciśnęła jednak zęby, próbując powstrzymać się od płaczu. – „Jeszcze nie teraz, wytrzymam”. – powtarzała sobie w myślach, choć było to bardzo trudne.

Gdy maszyna dotknęła kołami płyty lotniska, lekko nią zatrzęsło, ale chwilę później samolot już powoli zmierzał na ostateczne miejsce postoju. Nie zważając na prośby personelu, Wiktoria odpięła pasy i czekała aż samolot całkowicie się zatrzyma i będzie mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Bała się tego momentu. Z jednej strony jej serce radowało się faktem, że ponownie znajduje się w rodzinnym kraju, miejscu, gdzie przecież spędziła dzieciństwo i które tak kochała. Z drugiej strony dręczyła ją myśl, że głównym powodem, dla którego tu wraca jest śmierć matki.

– „Śmierć matki. Śmierć. Matki. Mojej mamy” – powtarzała w myślach, nie mogąc w to uwierzyć.

Z amoku obudziły ją gromkie oklaski podróżujących na znak uznania dla pilota za pomyślne lądowanie. Wreszcie otworzyły się drzwi kabiny i stewardzi pozwolili pasażerom powoli opuszczać pokład. Wiktoria zatrzymała się na trzy sekundy w drzwiach, próbując ogarnąć wzrokiem cały horyzont. Do jej nozdrzy doszedł świeży powiew poranka.

– Proszę nie blokować przejścia – odezwała się stewardesa.

Był piękny kwietniowy dzień. Ze względu na dość wczesną porę temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni. Jednak dzięki promieniom słońca nie czuło się chłodu. Dochodziła godzina dziewiąta rano. Wiktoria nie rejestrowała bagażu, więc nie czekając na odbiór, ruszyła prosto w stronę wyjścia. Tam dostrzegła już tłum ludzi przybyłych, aby przywitać swoich bliskich. Na Wiktorię nikt nie czekał. Wymieniła szybko trochę euro na złotówki i wyszła na dwór, aby złapać taksówkę. Miała szczęście, większość pasażerów jeszcze czekała na bagaż, więc ze znalezieniem taksówki nie było trudno. Podeszła do pierwszej w kolejce. Kierowca, nie czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienia, od razu otworzył drzwi samochodu. Wiktoria usadowiła się wygodnie na tylnym siedzeniu, po czym powiedziała:

– Proszę mnie zawieźć na komisariat w Wojkowicach.

Niestety, pierwszą czynnością, jaką musiała zrobić, było udanie się na policję w celu osobistego przyjęcia powiadomienia o zgonie i poznania tak przykrych dla niej okoliczności tego zdarzenia.

– Czy może pan tu poczekać na mnie? – spytała kierowcę, gdy dotarli już na miejsce. – Nie wiem ile to zajmie, ale i tak będę musiała zadzwonić po taksówkę, jak skończę, więc może... – nie dokończyła jeszcze zdania, a kierowca już kiwnął głową na tak. – Bardzo dziękuję, postaram się szybko to załatwić.

Drzwi główne komisariatu lekko zaskrzypiały. Wiktoria wzięła głęboki oddech i zamknęła je za sobą. W jednej chwili ogarnął ją

półmrok. W środku panował chłód. Znajdowała się w wąskim korytarzu, który służył jednocześnie jako poczekalnia i miejsce przyjmowania zgłoszeń. Na małej, jedynej jaka tam była, ławce siedziała starsza kobieta. Może w rzeczywistości nie była taka stara, ale wyglądała na zaniedbaną. Czekala zapewne na kogoś, kto miał się zająć jej sprawą, jakakolwiek by ona nie była. Obrzuciła Wiktorię niemiłym spojrzeniem. Tak jak się patrzy na panią z wielkiego miasta, która przyjechała na wieś. Wiktoria nie zwracała na nią uwagi, rozejrzała się wkoło, szukając dyżurnego. Po prawej stronie w ścianie korytarza znajdowało się okienko z szybą. Podeszła, nikogo jednak tam nie było. Po chwili do pomieszczenia po drugiej stronie za ścianką wszedł funkcjonariusz. Wyglądał trochę tak, jak typowy policjant rodem z filmów amerykańskich. Taki, którego nigdy nie wysyła się w teren, tylko siedzi cały czas za biurkiem i wykonuje jakąś administracyjno-biurową pracę. Miał około czterdziestu lat i lekką nadwagę. Ale wyglądał sympatycznie.

– Słucham panią? – odezwał się, widząc Wiktorię w okienku.

– Dzień dobry – odparła bez entuzjazmu. – Nazywam się Wiktoria Duchowna, miałam się zgłosić – to mówiąc, położyła przed sobą kartkę papieru, wydrukowane powiadomienie z wezwaniem z policji.

Dyżurny wziął kartkę do ręki, założył okulary z grubą czarną oprawką i w ciszy przeczytał dokument.

– Proszę usiąść i chwilę poczekać. Zaraz się do pani ktoś zgłosi – to mówiąc wskazał, Wiktorii miejsce na ławce obok dziwnej

kobiety.

– „Ona pewnie też czekała, aż ktoś się do niej zgłosi” – pomyślała, sadowiac się obok. Kobieta, tak nieprzychylna początkowo z wyglądu, czując falę słodkich perfum Wiktorii, jakby złagodniała. Na jej pooranej zmarszczkami twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. Wyglądało to trochę tak, jakby dawno albo nigdy, nie siedziała koło pachnącej osoby. Minęło dziesięć minut. Wiktorii co chwilę gorączkowo spoglądała na zegarek niecierpliwiac się bardzo. Już zamierzała wstać, kiedy właśnie w drugim końcu korytarza zjawił się inny policjant. Najpierw udał się do okienka, mierząc po drodze wzrokiem obie siedzące na ławce kobiety, szeptem wymienił kilka słów z dyżurnym, po czym obracając się na pięcie, podszedł do Wiktorii.

– Zapraszam panią do biura – powiedział, wzbudzając tym samym lekkie oburzenie na twarzy drugiej kobiety, która zapewne nie rozumiała, dlaczego musi czekać dłużej, skoro przysła tu pierwsza.

Policjant zaprowadził Wiktorię do ciasnego pokoju na pierwszym piętrze. Wskazał krzesło i sam usiadł w fotelu za biurkiem.

– Pani Wiktorio – zaczął. – Nazywam się sierżant Makowski. Zająłem się zgłoszeniem o śmierci pani matki. Na wstępie chciałbym przekazać moje wyrazy współczucia – to mówiac, zrobił poważną i pełną szczerości minę. Weronika w ramach wdzięczności kiwnęła smutno głową i na chwilę spuściła wzrok.

– Pani Wiktorio, myśleliśmy, że obędzie się bez takich

czynności, ale niestety będziemy musieli prosić panią o zidentyfikowanie zwłok pani mamy.

Wiktoria wytrzeszczyła oczy, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. Ta wiadomość ją zszokowała.

– Nie sądziliśmy, że będzie taka potrzeba, ale ... - sierżant na chwilę zamilkł, szukając właściwych słów – Chodzi o to, że pani mama potknąwszy się o kamień, tak niefortunnie upadła, że zanurzyła się do połowy w wodzie, i nie mogąc się podnieść, niestety, zadławiła się i utonęła. Identyfikacja jest konieczna, bo twarz została znacznie uszkodzona.

Oczy Wiktorii napełniły się łzami, zaczęła łkać, szukając w kieszeni chusteczki. To widząc, policjant podał dziewczynie pudełko leżące na biurku, tak jakby był przygotowany na taką sytuację. Dziewczyna wyciągnęła trzy chusteczki naraz i otarła twarz.

– Wiem, że to trudne i bolesne, ale proszę spróbować się uspokoić – zalecił sierżant.

Siedzieli tak chwilę w ciszy, czekając, aż Wiktoria złapie oddech. Na szczęście dziewczyna zdołała się opanować, więc policjant kontynuował.

– Ponieważ rozumiemy, co pani przeżywa, nie będziemy pani wystawiać dzisiaj na dodatkowy stres. Zwłaszcza, że zapewne jest pani zmęczona po podróży. Jednak identyfikacja jest konieczna i dlatego proszę, aby pani pofatygowała się jeszcze jutro do nas na okazanie zwłok pani mamy. Czy możemy umówić się na godzinę dziewiątą rano?

– Tak – odpowiedziała krótko, bo na tyle ją było stać w tej chwili.

– Czy ma pani możliwość, żeby przyjechać samodzielnie? Czy powinniśmy wysłać po panią radiowóz?

Dziewczyna pomyślała, że to miłe z jego strony. Postanowiła skorzystać z takiej możliwości.

– Tak, bardzo proszę. Jeśli to nie problem, wolałabym, żeby ktoś po mnie przyjechał.

– Rozumiem, w takim razie jutro o dziewiątej podjedzie radiowóz po panią. Na dzisiaj to wszystko. Myślę, że należy się pani odpoczynek. Proszę jeszcze chwilę poczekać – wstał od biurka i udał się do szafy, skąd wyciągnął pęk kluczy.

– To są klucze, jakie posiadał stajenny. Przekazuję je pani – wręczył klucze Wiktorii. – Pan Głowacki, jak pani zapewne wie, zajmował się stajnią pani mamy...

– Tak, wiem, kto to jest, nigdy go osobiście nie poznałam, ale mama czasem wspominała o nim.

– To właśnie pan Zenon zawiadomił nas o tym smutnym zdarzeniu. Podejrzewam, że zjawi się dziś lub w najbliższych dniach. Sama pani zdecyduje, czy ma się on dalej zajmować końmi.

– Dziękuję. Jeśli to wszystko na dzisiaj, to chciałabym już pojechać.

– Oczywiście – to mówiąc, sierżant odprowadził Wiktorię do samych drzwi frontowych.

Na szczęście taksówkarz nadal czekał przed komisariatem.

– No, chyba nie było tak źle? – próbował być zabawny, ale pożałował tych słów, widząc zapłakaną twarz Wiktorii.

– Dziękuję, że pan poczekał. Proszę mnie teraz zawieźć do Dąbia Górnego.

Kierowca zrobił trochę zmieszaną minę. Najwidoczniej nie znał dobrze okolic. Już sięgał do schowka po nawigację, kiedy Wiktoria się odezwała:

– Ja pana poprowadzę. Teraz prosto do skrzyżowania, na skrzyżowaniu proszę skręcić w lewo i jechać prosto przez około cztery kilometry.

I ruszyli.

Po drodze mijali znane Wiktorii miejsca. Widziała za oknem przydrożne kapliczki, kościółki i powracały wspomnienia. Fizycznie siedziała w samochodzie, ale myślami była daleko. Przez chwilę znów była małą dziewczynką. Jechała autobusem linii sześćdziesiąt siedem. Autobus miał ręcznie otwierane drzwi w części przedniej i tylnej oraz wysokie, wyściełane siedzenia. Jak w autokarze. Było lato, straszliwy upał. Wszystkie szybki były odsunięte tak, że przy każdym ruchu do środka wpadał ciepły, pachnący gorącym asfaltem wietrzyk, wprawiając w ruch wiszące na małych karniszach zasłonki w kolorze pomarańczowym, które powiewały jak spódniczki tancererek. Mała Wiktoria siedziała przy oknie, obserwując pola, drzewa, przydrożne ogródki, domki, psy biegające bez smyczy, dzieci bawiące się na dworze. Do autobusu wszedł

mężczyzna, usiadł obok Wiktorii i zapytał: „Gdzie teraz jedziemy?”. Dokąd teraz jedziemy? – to kierowca taksówki pytał o drogę, wyrrywając Wiktorię z rozmyślań.

– Teraz w prawo – odezwała się, powracając do czasu rzeczywistego.

Prowadziła tak kierowcę jeszcze przez kilka kilometrów: „Tu w prawo, tu w lewo, tu proszę uważać na zakręcie, tu jest bardzo wąsko, tu jest niebezpiecznie”. Wreszcie dojechali na miejsce. Zapłaciła kierowcy z nawiązką i wygramoliła się z samochodu. Mężczyzna podziękował i dopiero teraz włączył nawigację, żeby móc wyjechać z tej serpentyny wąskich uliczek, na jakąś drogę krajową. Po chwili ruszył i zniknął za horyzontem. Wiktoria stała jak zaczarowana, jakby nie wiedząc, co ma zrobić, co ją czeka. W końcu drgnęła. Z torebki wyciągnęła klucze, które mama dała jej kilka lat temu na wypadek, gdyby kiedykolwiek chciała wejść, a jej akurat nie było w domu.

– Akurat cię nie ma w domu mamó – zachlipała cichutko.

Ruszyła wybrukowanym podjazdem w stronę bramy. Całe ogrodzenie wyglądało imponująco. Solidny, wysoki na trzy metry mur zbudowany z kamienia cały porośnięty był bluszczem, a od północnej strony kamienie pokrywał ciemnozielony mech. Na środku muru była drewniana brama, równie wysoka. Między deskami nie było żadnej szpary, więc właściwie nie było możliwości, żeby zobaczyć, co dzieje się po drugiej stronie. Klara Duchowna zawsze miała obsesję na punkcie prywatności. Denerwowało ją, gdy

ktokolwiek choćby zerkał w stronę domu, kiedy ona na przykład siedziała na werandzie, pijąc kawę. Około dziesięciu lat temu razem z mężem, gdy ten jeszcze żył, postanowili ogrodzić dom takim właśnie murem warownym. Przez to długo byli na językach ludzi. Co jakby tylko potwierdziło fakt, że tutaj, w tak małej miejscowości mieszkańcy bywali dość ciekawscy. Potem już przestali o tym rozmawiać i temat zaginał, a mur coraz bardziej porastał bluszcz.

Stanęła przed furtką i przymierzyła pierwszy klucz do zamka. Kluczy było kilka, od różnych drzwi, bram, furtek, garażów. Za drugim razem się udało. Ciężka, drewniana furtka na metalowej konstrukcji otworzyła się. Serce Wiktorii zabiło szybciej. Czowała się dziwnie i niepewnie, jakby zza tej fortecy miał wyskoczyć smok ziejący ogniem. Smok pasowałby idealnie do tej scenerii. Szła dalej, niosąc niewielką walizkę. Furtka zatrzasnęła się samoczynnie za nią. Dziewczyna poruszała się powoli, oglądając wokoło i podziwiając piękny ogród. Do drzwi frontowych można się było dostać jedynie przechodząc przez zadaszoną werandę. Wreszcie przed jej oczami wyrosły masywne, ciemne drzwi domu. Ktokolwiek ostatni je zamykał, zatroszczył się, aby były starannie zamknięte na tak zwane cztery spusty. Wiktoria musiała użyć trzech kluczy. W końcu się udało. Nacisnęła na klamkę i tak, jak poczuła się, będąc przed furtką, tak też poczuła się teraz. Serce waliło jej jak młot, ręce drżały, starannie przypudrowane czoło pokryły kropelki potu. Odważyła się przekroczyć próg. Ostatni raz była tu dwa lata temu.

– Mój Boże, dwa lata temu – powiedziała cichutko, żalując, że

nie odwiedzała mamy częściej.

Tak wiele by teraz dała, żeby móc zobaczyć ją choć raz przed jej śmiercią. Posmutniała. Znajdowała się w ganku, który kilkakrotnie przebudowywano, zmieniając nieco jego funkcję. Teraz stanowił on pewnego rodzaju klatkę schodową. Można stąd było zejść do piwnic lub osobnym wejściem na parter. Kiedyś, jakieś trzydzieści lat temu, wiodło stąd także osobne wejście na pierwsze piętro. Jednak po śmierci babci Elżbiety mama Wiktorii postanowiła scalić parter z piętrem. Kolejnym kluczem otworzyła drzwi na parter. Przedpokój składał się z dwóch długich na cztery metry korytarzy, ułożonych na kształt litery L. Po lewej stronie znajdowały się dwa duże pokoje, kolejny naprzeciwko wejścia, a idąc do końca drugim korytarzem, dochodziło się do łazienki oraz kuchni. Wcześniej, na prawo od drzwi, rozpoczynały się kilkudziesięciostopniowe, dębowe schody, prowadzące na pierwsze piętro. Wszystko wyglądało magicznie, jak z bajki.

Nagle z tego amoku wyrwał Wiktorię dźwięk telefonu.

– Halo – odezwała się. – Przepraszam kochanie, że nie zadzwoniłam. Chciałam to zrobić po powrocie do domu – zaczęła się tłumaczyć.

– No ale mów, wszystko dobrze? Co z tą policją? Jesteś już w domu? – Iñaki zasypał ją lawiną pytań.

– Tak, już wróciłam. Z lotniska pojechałam najpierw na komisariat. Chciałam to mieć za sobą, ale wygląda na to, że to jeszcze nie koniec nerwów – głos miała drżący i niespokojny.

– Dlaczego, co się dzieje?

– Jeszcze jutro przyjadą po mnie, bo muszę zidentyfikować zwłoki... – w tym momencie wybuchnęła płaczem.

Przez chwilę Iñaki próbował ją uspokoić przez telefon, aż w końcu przestała łkać.

– Mówiłem, że powinienem tam być z tobą i ci pomóc z tym wszystkim. To nie chciałaś – rzekł z pretensją chłopak.

– Daj spokój, już o tym rozmawialiśmy. Jest mi ciężko, ale potrzebowałam побыć sama i wszystko sobie przemyśleć – stanowczo oznajmiła narzeczonemu.

– Wiki, może jednak przylecę, co? Właściwie tylko do środy muszę zastępować Carlosa, potem mogę wziąć urlop. Już nie pamiętam co to takiego.

Chłopak zupełnie bezskutecznie próbował ją namawiać, Wiktoria uparła się, że jego przyjazd teraz nie ma sensu. Zbliżała się Wielkanoc. Chciała uporać się z pogrzebem do tego czasu. Pożegnali się więc czule i zakończyli rozmowę. Znajdowała się teraz sama, z własnymi myślami w domu, z którym wiązała tyle wspomnień. Zamknęła frontowe drzwi na klucz, postanowiła zabrać swoje rzeczy na górę i tam też poszukać miejsca do spania. Mimo że dochodziła dopiero dwunasta w południe, Wiktorię ogarnęło ogromne zmęczenie. W sumie, odkąd została powiadomiona o śmierci mamy, nie zmrużyła oka. Od dwóch dni chodziła jak zombi, a do tego jeszcze dzisiejsza podróż samolotem całkowicie odebrała jej siły. Do tego nerwy i stres towarzyszący przez cały ten czas.

Udała się więc schodami na górę. Po drodze mijała różne obrazy i zdjęcia w ramach. Niektóre zakupione, niektóre autorstwa mamy. Pięknie wyglądały na tle ściany wymurowanej z samych cegieł. Na szczycie schodów przywitał ją ogromny salon z kominkiem. Wszystkie pomieszczenia zachowane były w tym samym stylu. Klasycznie i bardzo gustownie. Salon był kwintesencją dobrego smaku. Podłogę z ciemnych dębowych desek wykończono po bokach rzeźbionymi listwami. Ściany były albo z gołej cegły albo z kamienia. Gdziekolwiek tylko gładkie i białe jak śnieg. Po bokach oraz pod sufitem znajdowały się drewniane belki, które jeszcze bardziej dodawały uroku temu miejscu. Cały dom umeblowany był świetnie zachowanymi antykami, ściany ozdobione obrazami, starymi, kurantowymi zegarami, a wszędzie można było znaleźć jakieś szpady, miecze i tym podobne rekwizyty. Również lampy były stylowe. Na centralnej krokwi u sufitu salonu zawieszono ogromny, drewniany, ośmioramienny żyrandol. Właściwie miało się wrażenie, że to jakiś zamek średniowieczny, a nie dom rodzinny. Wiktoria odwiedzając mamę, zwykle zajmowała pokój na piętrze, skrajnie usytuowany na lewo. Okna tego pokoju skierowane były na południe. Wiedzioną przyzwyczajeniem także tym razem udała się tam z walizką. Otworzywszy białe, drewniane drzwi, uderzył ją w twarz silny blask słońca. Sypialnia była bardzo widna. Przez duże balkonowe okno wpadały promienie słoneczne. Efekt ten potęgowało ogromne lustro, właściwie ściana luster, jakie tworzyła wykonana na specjalne zamówienie szafa w kolorze orzecha z gładko

wykończonymi krawędziami. Wiktoria położyła torbę obok łóżka. Był to chyba jedyny mebel w całym domu nie wykonany z drewna, lecz z metalu, a i tak pięknie komponował się z całością. Łóżko przypominało stylem te, które zwykle widzi się na romantycznych filmach rodem prosto z Toskanii albo Prowansji. Metalowa konstrukcja pomalowana była na czarno, a pręty, które wiły się i przeplatały niczym kręte strumyki górskie, z każdej strony zakończono główką aniołka.

Dziewczyna usiadła ostrożnie na krawędzi materaca i tylko jeszcze na moment wpadła w nostalgiczny nastrój. Po chwili ocknęła się i nie myśląc długo, zrzuciła buty dwoma ruchami stóp. Sunąc po miękkiej, świeżej i pachnącej wiosną pościeli, dosięgnęła poduszki. Położyła na niej głowę. Nie pamiętała momentu, w którym zasnęła. Spała głębokim snem pełne cztery godziny.

KONIEC FRAGMENTU.